



ślawomir mizerski z życia sfer

Gdzie poseł ma interes

Mówi się o tym, że sytuacja posłów jest nie do pozazdroszczenia i wciąż się pogarsza. Kiedy tylko jakiś poseł lub posłanka źle zaparkuje samochód, przekroczy szybkość, przyjmie jakiś drogi upominek, wprowadzi się w stan wskazujący na spożycie lub nie zapłaci za usługę prostytutce – zaraz staje się obiektem nieuzasadnionego ataku mediów. Tajemnicą poliszynela są też malejące dochody posłów. Np. posłom nieobecnym na komisji sejmowej, której są członkami, potrąca się 400 zł. Efekt jest taki, że posłowie ci zmuszeni są być na posiedzeniach tych komisji, chociaż często nie wiadomo po co. Wielu posłów chętnie opuszczałoby te posiedzenia, bo mają ważniejsze sprawy na głowie, ale nie stać ich na to z powodów finansowych. Nic dziwnego, że siedzą na tam jak na szpilkach

i nie czują się dobrze. Na pewno poczuliby się lepiej, gdyby Sejm przyznał im jakąś rekompensatę za straty, które ponoszą, siedząc na posiedzeniach, zamiast być tam, gdzie mają swój konkretny interes.

Są posłowie, którzy siedzenie w komisjach próbują pogodzić z innymi obowiązkami i podpisują się na liście obecności komisji, a następnie nie uczestniczą w jej posiedzeniu. Niestety, tacy posłowie spotykają się z zazdrością mściwych, mniej pracowitych kolegów. Np. poseł Waszczykowski z PiS, jak tylko wyszedł, że był minister transportu poseł Nowak zaraz po podpisaniu listy wyszedł z Sejmu, natychmiast opowiedział o tym tabloidom „Widziałem, jak to zrobił. Często tak robi” – zapewniał Waszczykowski, dodając, że sprawę sygnalizował szefowi komisji Grzegorzowi Schetynie, niestety, ten nie zareagował.

Posła Nowaka trudno potępiać za to, że dla zaoszczędzenia cennego czasu usiłował być w dwóch miejscach naraz. Nie od dziś wiemy,

że ma on do swojego czasu nabożny stosunek i kontroluje go na wielu zegarkach, które musi w tym celu pożyczyc od znajomych. A egoistycznej postawy Waszczykowskiego oczywiście nie pochwalamy, bo jeśli on sam w czasie posiedzenia komisji sejmowej, której jest członkiem, nie ma niczego ciekawego do roboty w innych miejscach, to niech przynajmniej nie utrudnia roboty innym.

Zachowanie Waszczykowskiego i jemu podobnych sprawia, że zaufanie społeczeństwa do posłów maleje, dlatego nie dziwi informacja o planowanym wzmocnieniu i dozbrojeniu sejmowej Straży Marszałkowskiej mającej ich pilnować. Mówi się, że dobrze wyćwiczona i uzbrojona w elektryczne paralizatory Straż lepiej zapewni bezpieczeństwo ponad 100 tys. osób odwiedzających co roku Sejm. Nie wiadomo, jak wielkim zagrożeniem dla nich mogą być przebywający w Sejmie i czasem bardzo agresywni posłowie i senatorowie, ale moim zdaniem warto dmuchać na zimne.



Budować **rozważnie**, czyli **energooszczędnie** (1)



foto. VELUX

Wyróżnikiem współczesnego budownictwa jednorodzinnego jest dążenie do energooszczędnej eksploatacji domu. W sytuacji, gdy koszty ogrzewania budynku stanowią poważną pozycję w domowym budżecie, rozwiązania oszczędzające energię są jedynym racjonalnym wyborem.

Ekonomiczne korzyści inwestora nie są jednak jedynym motorem działań zmierzających do upowszechniania budownictwa energooszczędnego. Płynący z dyrektyw unijnych wymóg energooszczędnego budowania opiera się głównie na założeniu, że budynki zużywające mniej energii – zarówno na etapie budowy, jak i eksploatacji – w mniejszym stopniu będą zanieczyszczały środowisko. Założenia te znajdują swoje odzwierciedlenie w regulacjach prawnych również w Polsce. Nowe, obowiązujące od 2014 roku „Warunki techniczne, jakim powinny odpowiadać budynki i ich usytuowanie” narzucają konieczność stopniowego obniżania wskaźnika zapotrzebowania budynku na energię

oraz bardziej rygorystyczne współczynniki odnoszące się do izolacyjności cieplnej. Tworzy się też inne formy prawne stymulujące inwestowanie w energooszczędność jak np. obowiązek uzyskania przez właścicieli domów tzw. świadectwa charakterystyki energetycznej budynku.

Energooszczędność w standardzie

We współczesnym budownictwie stosuje się dzisiaj wiele rozwiązań określanych jako energooszczędne. Punktem odniesienia jest tu sezonowy wskaźnik zapotrzebowania na energię pierwotną, który według aktualnie obowiązujących przepisów wynosi 120 kWh/m² rok. Za dom energooszczędny uznaje się dzisiaj budynek, który osiąga tę wartość w wysokości prawie o połowę mniejszej, a w budynku zakładającym bierne pozyskiwanie energii czyli tzw. „domu pasywnym” wskaźnik ten nie może przekroczyć 15 kWh/m² rok. Warto jednak mieć świadomość, że według nowych „Warunków technicznych” już w 2021 roku sezonowy wskaźnik zapotrzebowania na energię nie będzie mógł przekroczyć wartości 70 kWh/m² rok, a więc już standardowy dom będzie musiał spełnić

„Buduj Rozważnie z PSB” to kampania informacyjna, której celem jest propagowanie nowoczesnego budownictwa, które spełnia swą podstawową funkcję i jednocześnie umożliwia inwestorom tańszą eksploatację i mieszkanie w harmonii z naturą. W cyklu artykułów duży nacisk położymy na przekonanie inwestorów o ekonomicznych zaletach zastosowania nowych technologii w dłuższym okresie.

obowiązujące dzisiaj wymogi domu energooszczędnego.

Działania kompleksowe

Obniżenie wskaźnika zużycia energii niezbędnej do ogrzania budynku stało się dzisiaj celem działań wszystkich obszarów budownictwa mających wpływ na ostateczny kształt budynku. Energooszczędność to jedno z podstawowych zadań architektów, konstruktorów, projektantów instalacji, producentów materiałów budowlanych oraz wykonawców. Co więcej, wszystkie te działania muszą być podejmowane kompleksowo. Pomyślna realizacja projektu domu energooszczędnego będzie możliwa tylko przy wykorzystaniu materiałów o odpowiednich parametrach termicznych, a ich użycie przyniesie spodziewane efekty jedynie pod warunkiem profesjonalnego wykonawstwa. Na ostateczne, wymierne korzyści z energooszczędnego budowania wpływ ma również inwestor, choćby poprzez przestrzeganie odpowiednich zasad podczas eksploatacji budynku i zamontowanych w nim urządzeń.

Energooszczędność na każdym etapie

Straty ciepła wynikają przede wszystkim z tego, że przenika ono przez przegrody zewnętrzne, ściany, dach, podłogę, okna i drzwi. Pierwszy krok w ich zminimalizowaniu należy podjąć już na etapie projektowania domu – budynek powinien mieć taki kształt, by stosunek przegród zewnętrznych do jego kubatury ogrzewanej był jak najmniejszy. Zalecane jest również takie ustawienie budynku, by zyski darmowej energii słonecznej były jak największe. Wszystkie przegrody zewnętrzne muszą spełnić określone normy dotyczące ochrony cieplnej – decyduje o nich współczynnik przenikania ciepła U, który według nowych „Warunków technicznych” ma w perspektywie kilku najbliższych lat osiągać coraz to niższe wartości. Już od 2014 r. U dla ścian zewnętrznych zamiast dotychczasowej wartości 0,3 W/(m²K) wynosi 0,25 W/(m²K), a dla dachu zamiast 0,25 W/(m²K) – 0,2 W/(m²K). Za coraz bardziej restrykcyjnymi wymogami podążają producenci materiałów budowlanych, oferując np. specjalne bloczki i pustaki nie wymagające docieplania czy materiały termoizolacyjne pozwalające zachować niską wartość współczynnika U bez konieczności zwiększania grubości ocieplenia. Duże znaczenie ma również zapobieganie powstawaniu tzw. mostków cieplnych, czyli miejsc ucieczki ciepła w przegrodach zewnętrznych, które powstają zazwyczaj na skutek błędów wykonawczych. W ich zminimalizowaniu pomocne są również nowe produkty, takie jak specjalne prefabrykowane belki nadprożowe czy łączniki balkonowe.

www.budujrozważniepsb.pl
www.grupapsb.com.pl

Partnerzy:



Kup książkę

Wersja kurii, wersja wiernych

Pprzed bramą świątyni na tablicy ogłoszeń, obok listu abp. Hosera o zamknięciu kościoła, znalazło się zaproszenie na mszę w pobliskim Klembowie o łaskę zgody dla parafian w Jasienicy. Nie budzi specjalnego zainteresowania, bo w Jasienicy panuje zgoda: ks. Wojciech Lemański ma do nich wrócić. Media mówią o podziałach, ale nadal trudno spotkać tu kogoś, kto byłby innego zdania. „To garstka, może 4–5 rodzin na 600” – ocenia sołtys Mirosław Szczotka. Jasieniczanie z telewizji dowiedzieli się, że w liście sami prosili arcybiskupa o zamknięcie kościoła, bo nie mogą już znieść atmosfery nienawiści i agresji ze strony awanturników ks. Lemańskiego i że zachodzi obawa profanacji.

Danuta Oplotna, jasieniicka radna, jest zdziwiona. Wysyłali do kurii dziesiątki listów w obronie ks. Lemańskiego, podpisanych imiennie przez ponad 1300 osób, i nigdy nie dostali żadnej odpowiedzi, a tu jeden anonim i kościół zamknięty. Przecież sytuacja wydawała się uspokojona. Ks. Lemański podporządkował się kurii, opuścił parafię. Miał prawo do jednej niedzielnej mszy. Ludzie nie rozumieją, dlaczego nagle nawet tego mu zabroniono. To znaczy rozumieją. Na mszach ks. Wojciecha kościół był pełny, a na innych pustawy nawet w trzech czwartych. I taca mała, bo ludzie rzucali po zło-tówce, po 10 gr albo w ogóle.

Wersję kurii co do wydarzeń Palmowej Niedzieli, które były bezpośrednim pretekstem zamknięcia kościoła, też nikt tu nie wierzy. Zwłaszcza że były na niej tłumy



© PAP/GRZEGORZ JAKUBOWSKI

i widziały na własne oczy, że nikt nie krzyczał w czasie mszy, nie wygrażał pięściami, nie opluł księdza administratora ani nie groził mu śmiercią. Gdy ks. Lemański został wyproszony ze świątyni, większość wyszła wraz z nim. On odjechał, a na schodach został tłum tarasujący wejście. Wtedy księża ze strachu zamknęli się w zakrystii i wezwali policję. Przyjechała, ale nie interweniowała, bo nie było powodu.

Kobiety pod zamkniętym kościołem wzdychają: czego ONI jeszcze nie wymyślą, żeby go zaszczyć i oszkalować. Przy sklepie spożywczym zawisała tablica z alternatywnymi ogłoszeniami parafialnymi, według których Wielki Tydzień w Jasienicy wyglądał tak: środa – modlitwa za ks. Wojciecha, żeby tak jak Jego patron był rycerzem radosnej wiary,

ale uchronionym od męczeństwa, czwartek – **protest pod kuria** z hasłem „Jasienica murem za ks. Lemańskim”, świąteczny poniedziałek – jajeczko z ks. Wojciechem w remizie strażackiej, zaprasza Rada Parafialna i OSP. Ludzie nie odpuszczają, bo czują, że zostali skrzywdzeni i ukarani nie wiadomo za co. Za to, że pokochali dobrego księdza?

Pprzedtem, przez 25 lat, poprzedni proboszcz rządził parafią silną ręką. Ludzie się go bali, bo potrafił wyczytać z ambony, odmówić sakramentów, po koleędzie chodził z podpisanymi kopertami, żeby wiedzieć, ile kto dał. Nie protestowali, bo myśleli, że tak to właśnie powinno wyglądać. Ks. Lemański pokazał im inną twarz Kościoła; Kościoła, który daje, a nie bierze. Organizował zbiórki na biednych, opłacał dzieciom obiady i kolonie. Ludzie wiedzieli, na co idzie każda złotówka z tacy, i poczuł, że mają wpływ na to, jak będzie wydana, bo im ks. Wojciech tłumaczył, że to oni są Kościołem. Nie rugał, nie pouczał, potrafił rozmawiać z każdym i każdy czuł się przez niego szanowany. I przez siedem lat tak zmienił Jasienicę, że mała mazowiecka wieś pod Tłuszczem już nie wyobraża sobie powrotu do tamtej starej twarzy Kościoła, który tylko zakazuje, nakazuje i karze – w dodatku karze nie tych, co trzeba.

Tu każdy w okolicy potrafi wskazać księży, którzy piją, grają w karty, mają dzieci, pobudowali wille za pieniądze z tacy, i kuria tego nie widzi, tylko uwzięła się na ks. Lemańskiego. Ludzie czują, że z biskupami się w Polsce nie wygra, ale nie mogą ustąpić, bo to kwestia zasad: prawda jest po ich stronie. Tamci to tylko zwykli księża czy biskupi – przekonują kobiety pod sklepem – a ks. Wojciech to Boży kapłan i będą go bronić do końca.

(J. Poo.)

Pribałtycki Zakład Ubezpieczeń

PZU właśnie podpisał umowę na przejęcie największego ubezpieczyciela na Litwie – Lietuvos Draudimas AB (ma 30 proc. tamtejszego rynku), a także łotewskiego AAS Balta (24 proc. rynku) oraz estońskiego Codan Forsikring A/S (8 proc.). Transakcja zostanie sfinalizowana, jeśli zgodzą się na nią miejscowe odpowiedniki naszej Komisji Nadzoru Finansowego. Suma 369 mln euro jest poważna, ale nasz narodowy ubezpieczyciel chciałby na przejęcia w innych krajach wydać nawet 10 mld zł. Bo w Polsce już jest mu za ciasno.

Ten inwestycyjny przymus może jednak skłaniać do zakupów pochopnych, które – ze względów politycznych – mogą okazać się nieudane. Do wątpliwości skłaniają złe doświadczenia, jakie w wcześniejszą i większą inwestycję na Litwie ma PKN Orlen, od kilku lat właściciel rafinerii Możejki, za którą zapłacił aż 4 mld dol. Najpierw swoje niezadowolone okazali Rosjanie, odcinając Możejki od rury, którą do tej pory płynęła tam rosyjska ropa. Potem polskiemu inwestorowi mocno się dali w kość także Litwini. Napięte stosunki między Polską a Litwą odbiły się na relacjach gospodarczych. Okazały się ważniejsze niż to, że jesteśmy razem w Unii. Sąsiedzi za transportowanie ropy kołają każą sobie słono płacić. Cena z pewnością jest bardziej polityczna niż rynkowa. Ostatnio Litwini zaczęli z nami rozmowy na temat unormowania skomplikowanych relacji finansowych i wygląda na to, że sytuacja może się poprawić. Efekt Putina?

PZU powtórki z kłopotów z Litwinami jednak się nie spodziewa, choć będzie zależeć zarówno od litewskiego regulatora, jak i tamtejszego banku centralnego. Ubezpieczyciel uważa jednak, że ma z nimi dobre stosunki. Na Litwie już od 9 lat funkcjonuje spółka-córka PZU. Radzi sobie nieźle. Złośliwie można powiedzieć, że drogo za te dobre stosunki zapłaciła. Kiedy bowiem przed dwoma laty upadł tamtejszy bank Snoras, polski ubezpieczyciel stracił 5 mln zł depozytu. Czy litewski nadzór będzie o tym teraz pamiętał?

Firma jest także obecna na Ukrainie. Długo inwestycja nie była udana, ale od dwóch lat już jest rentowna. Jej dalsze losy jednak także zależą od polityki. Pole manewru, jakie ma największy polski ubezpieczyciel, jest małe. Po wybuchu kryzysu finansowego wydawało się, że rynek stworzy dużo okazji do dobrych zakupów. Jedną – gdy do kupienia pojawiło się AIG – przegapiliśmy; wysiłków PZU nie wsparli politycy. Druga pojawiła się niedawno, gdy można było przejąć, a potem połączyć Alior Bank z BGŻ. PZU miał na to chrapkę, ale duży holenderski Rabobank, właściciel BGŻ, wolał polski bank sprzedać Francuzom. Na trzecią okazję na razie się nie zanosz, a rosnąć trzeba. Więc rośnie także gotowość do ryzyka.

JOANNA SOLSKA

Przedświąteczne rytuały

Temu, co dzieje się na Ukrainie, winny jest Donald Tusk – oznajmił Jarosław Kaczyński i wreszcie wszystko stało się jasne. Cała skomplikowana gra mocarstw, układów wojskowych, wywiadów, wielkich pieniędzy, wyzwoleń konfliktów narodowościowych została objaśniona kilkoma słowami, zrozumiałymi dla przeciętnego wyborcy i to w sposób wyjątkowo wiarygodny. W sprawie win Tuska prezes PiS jest przecież nieomylny, ustalił ich już bardzo duży katalog i będzie go powiększał. W tym kontekście łatwo zresztą wytłumaczyć ową słynną fotografię, na której Tusk z Putinem, tuż po katastrofie, robią jakoby radosne „żółwiki”. Wtedy zapewne umówili się na ukraińską agresję? Czy w tej sytuacji można się dziwić, że rodzina premiera otrzymuje od prawdziwych patriotów listy zapowiadające, najdelikatniej rzecz ujmując, wymierzenie sprawiedliwości „ryżemu kundlowi” i jego najbliższemu? Prezes Kaczyński najwyraźniej znalazł się w impasie, choć przecież powodu do paniki jeszcze nie ma. W niektórych sondażach prowadzi, a Solidarna Polska próbująca przełamać pisowską doktrynę (na prawo od PiS nie może powstać żaden podmiot polityczny, bo stanowiłby prawdziwe zagrożenie) ledwie przędzie. Nawet jeśli pomaga mu okresowo Radio Maryja. Ojciec Rydzyk ma chyba jednak tyle wyczucia politycznego, aby Kaczyńskiego nie skreślać, zwłaszcza że do prawdziwej chwały wyniesiony został Antoni Macierewicz, radiowy ulubieniec. Może chwilowo elita środowiska maryjnego w zamach nieco zwątpiła, ale najważniejsze, aby słuchacze nie wątpili.

Na wszelki wypadek kreuje się nowego wroga – Państwową Komisję Wyborczą. Powiedzmy jednak od razu, nie jest to wróg tak efektywny jak Tusk czy jakiś inny diabeł przy Krakowskim Przedmieściu. PKW wielkich emocji nie wzbudzi. To ciało sędziowskie, zbiorowe, mało znane, nawet jeśli ma serwery w Moskwie i tam oblicza wyniki (te insynuacje PiS znane są już od dłuższego czasu i powtarzane mimo wielu sprostowań i wyjaśnień). Podobnie jak nie wzbudzi wielkich emocji „alternatywne” liczenie głosów. Wprawdzie zasianie wątpliwości co do wyniku wyborów jest niezłą taktyką na wypadek przegranej, ale trudno uwierzyć, by jeszcze tak niedawno triumfujące PiS obecnie, po wielkim wzmożeniu moralnym związanym z obchodami czwartej rocznicy katastrofy, już sobie przepowiadało klęskę. Zresztą jeśli Kaczyńskiemu po raz ósmy wygrać się nie uda, wyznawcy i tak będą uważać, że wybory zostały sfałszowane.

Kampania do PE jednak dopiero przed nami. Na razie komitety Kzarejestrowały swoje listy i prawdziwe zawody zaczną się już po świętach. Przed świętami kampania wyraźnie kulała, jeśli nie liczyć oczywiście występów Kaczyńskiego, który w ramach przesuwania się do centrum (który to już raz i kto się znów nabierze?) zaprosił naród do malowania jajek i sam tę czynność w towarzystwie partyjnych towarzyszy i dziennikarzy rozpoczął. Pisanki Kaczyńskiego jednak nie ujawniono. Przypieszysz musi zdecydowanie czerwony autobus Millera (czy warto się było naśmiewać z tuskobusu?), bo Sojusz nie ma pozycji na miarę aspiracji. Miller znów na poziomie Napieralskiego. Coś będzie musiał zrobić Palikot, bo na razie prawie go nie widać, a jeśli widać, to drużynę od Sasa do Lasu. Nawet happeningi prof. Hartmana mają raczej średnie branie. Nie wiadomo, czy dla poratowania ludowców wystarczy, aby minister rolnictwa Sawicki jadał na śniadanie wieprzowinę w towarzystwie ambasadorów kilku krajów, w tym np. Ukrainy, próbując przekonać ich, aby wreszcie zniesiono embargo na polskie mięso. Ukraina utrzymuje zresztą od lat embargo także na mięso wołowe, które zażadne nie było, absolutnie nie czując wdzięczności za polskie poparcie dla przemian. I właściwie tylko Janusz Korwin-Mikke nic nie będzie musiał robić, bo w jego przypadku wystarczy, że jest. I to nawet niekoniecznie w telewizji, bo kiedy się pojawia, raczej traci, zaś jako ciało nieco fantomowe zdecydowanie zyskuje.



Zanim więc kampania ponownie ruszy i Jarosław Gowin przedstawi kolejny spot reklamujący jego osobę, toczy się wielki bój edukacyjny, który zupełnie niesłusznie znalazł się w cieniu innych wydarzeń. Do boju ruszyli wydawcy podręczników do pierwszej klasy i straszą, ile to też tysięcy osób będą musieli zwolnić z pracy, kiedy pojawi się rządowy elementarz (właśnie przed świętami rząd zdążył przyjąć projekt ustawy wprowadzającej bezpłatny podręcznik). Ten rynek wart jest przecież miliony, a więc jest się o co bić. Na dodatek

tabloidy postraszyły, że tylko autorka Maria Lorek weźmie za swoją pracę kilka milionów. Pani Lorek już przestała być cenioną autorką, jest teraz podejrzana, głównie o poglądy, raz zbyt konserwatywne, innym razem zbyt równościowe, a także o brak odpowiednich kwalifikacji. Specjaliści od edukacji bardziej z lewa dawno przesadzili, że podręcznik będzie do niczego, bo zapewne nie uwzględni gender w wystarczającym zakresie, specjaliści z prawej strony uznali, że zbyt dowartościowuje gender, zapominając, że rodzina to związek kobiety i mężczyzny, co w elementarzu koniecznie powinno znaleźć swoje odzwierciedlenie. Te kontrowersje można już podobno wyczytać z samej okładki, znanej od kilku dni i sprawiającej wrażenie przyjaźnej. Prawdziwa dyskusja rozgorzeje jednak po świętach, kiedy specjaliści zagłębią się w opublikowane właśnie w internecie treści części pierwszej, bo przygotowania, którym przepowiedziano klępkę, idą raczej sprawnie. Oj, będzie się działo.

Udowodnienie, że rządowi nic nie może się udać, stało się celem nadrzędnym już nie tylko prezesa Kaczyńskiego, ale także wielu innych środowisk nawykłych nie do decyzji, lecz wiecznego kontestowania i demonstrowania frustracji. Na polu edukacyjnym toczy się zresztą drugi ważny bój – o obecność lub raczej o nieobecność sześciolatek w pierwszych klasach. Zwłaszcza w wielkich miastach rodzice masowo udają się do poradni psychologicznych, aby uzyskać zaświadczenie, że ich dziecko do pierwszej klasy absolutnie się nie nadaje. Jest to zjawisko nowe i o tyle ciekawe, że dotychczas rodzice bywali dumni z tego, że mają dzieci rozwinięte lub nawet bardzo rozwinięte. Teraz przedmiotem dumy staje się opóźnienie w rozwoju, nieprzystosowanie, co jest oczywiście efektem bitwy państwa Elbanowskich z rządem o wycofanie się z pomysłu posłania sześciolatek do szkół. Sprawę referendum przegrano, więc sięgnięto po poradnie specjalistyczne, bo przecież organizatorzy akcji Ratuj Maluchy zapowiedzieli, że z Tuskiem muszą wygrać. Ostateczny wynik tego starcia zobaczymy 1 września, kiedy dowiemy się, ile sześciolatek okazało się opóźnionych w rozwoju. Jeśli do 30 proc. całego rocznika, a tyle zaświadczeń wydaje się w niektórych miastach, raczej marnie świadczą to o wielkomiejskich rodzicach. Na prowincji dzieci rozwijają się jakoś zdecydowanie szybciej i chcą do szkoły. Ot, nieoczekiwane wyrównanie szans.

Jan Koza



© JAN KOZA



© ANDRZEJ HULINKA/REPORTER

Baba Narodowa

MAREK HENZLER

Jej koszty rosły niczym wielkanocna baba, od 655 mln zł planowanych w 2006 r. do prawie 2,2 mld zł wydanych na koniec 2012 r. Stadion placem budowy był jeszcze w 2013 r., a za rok wykonawcom trzeba jeszcze wypłacić ostatnią ratę (5 proc.) wynagrodzenia, wstrzymaną na wypadek roszczeń z tytułu gwarancji i rękojmi.

Na wniosek sejmowej komisji kontroli państwowej koszty budowy i wykorzystanie stadionu badała NIK. Jej zdaniem Ministerstwo Sportu i Turystyki zasłużyło na ocenę negatywną. Główny zarzut postawiony ministrom sportu (w latach 2006–12 było ich pięcioro), to niezdefiniowanie celów i spodziewanych rezultatów inwestycji, przed jej rozpoczęciem, jak i w trakcie realizacji.

Na początku miało powstać Narodowe Centrum Sportu. Poza halą sportowo-widowiskową i krytą pływalnią jednym z obiektów miał być stadion. Uchwała nr 196 z listopada 2006 r. rządu premiera Jarosława Kaczyńskiego (ministrem sportu był wówczas Tomasz Lipiec) przewidywała na ów sportowy kompleks 1225 mln zł, w tym 655 mln na stadion. Polska była wtedy w finałowej grupie państw, spośród których wiosną 2007 r. UEFA wybrała gospodarza mistrzostw.

Tuż przed wyborami, po których rządowy ster przejął Donald Tusk, Sejm przyjął ustawę o przygotowaniu finału

Na Stadionie Narodowym były już mecze mistrzostw Euro 2012, występują na nim gwiazdy muzyki i kaznodzieje, ale nadal nie wiemy, ile kosztowała podatników jego budowa.

turnieju Euro 2012, a minister Elżbieta Jakubiak (wtedy PiS) na odchodnym powierzyła spółce Narodowe Centrum Sportu budowę samego stadionu, określając w umowie jego koszt na 1 mld zł. NCS miało zawierać umowy i pilnować budowy, a ministerstwo regulować rachunki. Nowa ekipa w MSiT, kierowana przez Mirosława Drzewieckiego, testowała jeszcze pomysł tzw. Stadion City (stadion narodowy z biznesowym zagospodarowaniem otoczenia). Rozpisano konkurs, zwycięzcom wypłacono 300 tys. zł nagród, ale od realizacji odstąpiono. Pod presją czasu zaczęto zmniejszać zakres budowy (już tylko stadion). Rosły też planowane koszty, określone w kolejnej uchwale rządu nr 143 z 2008 r. już na 1,22 mld zł. Podwoiły się w dwa lata, choć w grunt nie wbito ani jednej łopaty.

Połowę wydatków miały pokryć zwiększone wpływy z gier i zakładów wzajemnych. Prace nad zmianą właściwej ustawy doprowadziły w październiku 2009 r. do tzw. afery hazardowej. Drzewiecki stracił posadę, ale wcześniej na wykonawcę projektu stadionu wybrał pracownię, która w konkursie zajęła nie pierwsze, lecz drugie miejsce. Zdaniem NIK przed budową stadionu nie wykonano analiz ekonomiczno-finansowych pod kątem potrzeb, lokalizacji, kosztów budowy i utrzymania stadionu. W rezultacie o tym, jaki obiekt powstanie i za jaką cenę, zdecydował de facto projektant, któremu nie postawiono żadnych ograniczeń dotyczących kosztów, i generalny wykonawca oferujący

wysoką cenę wykonania wielokrotnie zmienianego projektu. W rezultacie w kolejnej uchwale rządu z 2009 r. planowany koszt stadionu z rozbudowanymi funkcjami komercyjnymi urosł do 1,914 mld zł i taka też kwota, określona jako „budżet całkowity brutto”, znalazła się w sprawozdaniu podsumowującym turniej Euro 2012, sporządzonym w marcu 2013 r. przez minister Joannę Muchę dla rządu i Sejmu.

Tymczasem na koniec 2012 r. wydatki na budowę stadionu (według stanu faktur w NCS) wyniosły 2136,3 mln zł, a według ewidencji MSiT jeszcze więcej – 2182,2 mln zł, czyli były o 267 mln zł większe od planowanych kosztów. Ale i tak nie jest to ostateczny koszt budowy, bo stadion w 2013 r. (w swej komercyjnej części) wciąż był w budowie. Kwoty kilkuset milionów złotych sięgają też wzajemne roszczenia pomiędzy Skarbem Państwa a konsorcjum firm generalnego wykonawcy, z których największe są w stanie upadłości. W zależności od rozstrzygnięcia sporów w sądach i możliwości egzekucji wyroków może dojść – na co liczy NCS – do obniżenia ostatecznych kosztów.

Na negatywną ocenę NIK działań MSiT przy budowie stadionu miał wpływ brak różnego rodzaju dokumentacji i analiz, a także zawieranie przez NCS (za zgodą ministra i przy akceptacji resortowych komórek) umów lub ugód, które niedostatecznie zabezpieczały interes Skarbu Państwa. Przykładem ma być umowa najmu lokali i kiosków gastronomicznych na stadionie z firmą Sodexo.

NCS na zweryfikowane i zmodyfikowane według życzeń firmy projekty ich wyposażenia wydało (m.in. na sprzęt kuchenny) ponad 36 mln zł, otrzymując w zamian z tytułu czynszu i opłat eksploracyjnych w okresie kwiecień–grudzień 2012 r. – 58,7 tys. zł. Wydatki te zdaniem NIK powinny być sfinansowane przez operatora stadionu lub najemcę pomieszczeń, a nie ze środków na budowę stadionu. NIK zarzuca ministrom niedostateczny nadzór. Resortowi kontrolerzy kontrolowali NCS tylko raz, a dokumenty składane do ministerstwa weryfikowała osoba zatrudniona na umowę-zlecenie, bez doświadczenia w nadzorowaniu budowy dużych obiektów sportowych.

NIK wytknęła również ministrom niekorzystne kontrakty z prezesami spółek odpowiedzialnymi za organizację Euro 2012 i budowę stadionu oraz negatywnie oceniła zarządzanie stadionem w 2012 r. Wtedy to – jak pisała POLITYKA – MSiT, na rzecz którego działało NCS, zakupiło 4037 biletów na koncert Madonny za ok. 1,6 mln zł, z których 1193 sprzedano. MSiT nie wyegzekwowało od NCS rozliczenia się ze wszystkich biletów. Z wnioskami z tej kontroli powinni zapoznać się zwolennicy, jak i przeciwnicy igrzysk w Krakowie.



**Zaplątana
W
Stresie?**

Uwolnij się z Kalms



Unikalna kompozycja 3 ziół o działaniu uspokajającym: waleriany, chmielu i goryczki żółtej.

1 łagodzi napięcie i emocje 2 odpręża, ale nie otumania 3 chroni przed nawrotem stresu przed zaśnięciem

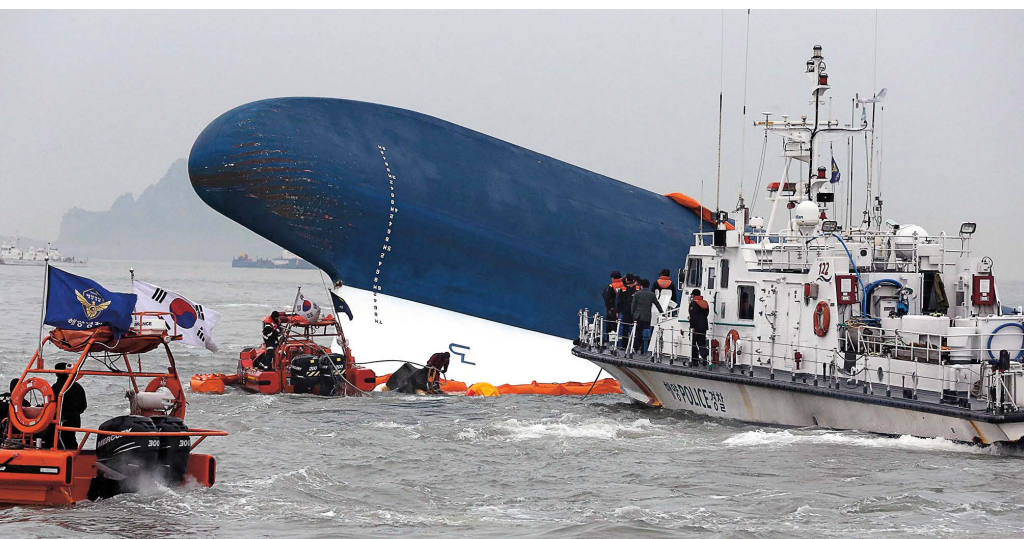
Połączenie chmielu i waleriany to tradycyjna i udokumentowana receptura farmaceutyczna w problemie stresu.

Kalms - tabletki drażżone. Skład: Lupuli flos pulvis 45,00 mg, Valerianae extractum hydroalcoholicum siccum (4:1) 33,75 mg, Gentianae extractum siccum (4:1) 22,50 mg. Wskazania: W łagodnych objawach napięcia nerwowego i jako środek wspomagający sen. Produkt leczniczy jest przeznaczony do tradycyjnego stosowania w wymienionych wskazaniach i jego skuteczność opiera się wyłącznie na długim okresie stosowania i doświadczeniu. Przeciwwskazania: Nadwrażliwość na którykolwiek ze składników preparatu. Podmiot odpowiedzialny: G. R. Lane Health Products Ltd., Sisson Road, Gloucester, GL2 0GR, Wielka Brytania. Informacje dodatkowe: Axellus Sp. z o.o., ul. Olkuszka 7, 02-604 Warszawa, tel. 22 349 67 00. KA/1/2014

Przed użyciem zapoznaj się z ulotką, która zawiera wskazania, przeciwwskazania, dane dotyczące działań niepożądanych i dawkowanie oraz informacje dotyczące stosowania produktu leczniczego, bądź skonsultuj się z lekarzem lub farmaceutą, gdyż każdy lek niewłaściwie stosowany zagraża Twojemu życiu lub zdrowiu.

Tradycyjny produkt leczniczy roślinny z określonymi wskazaniami wynikającymi wyłącznie z długotrwałego stosowania.

[Kup książkę](#)



Asad kontroluje, Asad kandyduje

Baszar Asad uśmiechnięty, Asad w mundurze, z żoną – plakaty wyborcze już wiszą, często przysłaniając ruiny. Władze w Damaszku lada dzień ogłoszą termin wyborów prezydenckich, najpewniej odbędą się w pierwszych dniach czerwca. Asadowi kończy się druga kadencja i 14 kwietnia na Uniwersytecie Damasceńskim rozpoczął kampanię – pierwszą, w której zgodnie z nowymi przepisami będzie miał konkurenta. Na uniwersytecie Asad oświadczył, że to punkt zwrotny w ponadtrzydziestoletniej już wojnie i do grudnia armia syryjska zakończy działania zbrojne. Dzień później w ręce reżimu powróciło ważne miasto Maaloula przy granicy z Libanem, a wkrótce mają paść ostatnie punkty oporu w Homs.

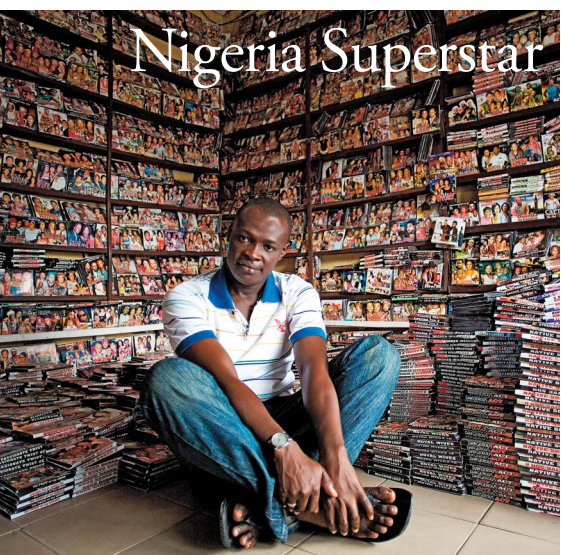
Mimo trwającego przekazywania Zachodowi broni chemicznej niezależni obserwatorzy donoszą o kolejnych atakach gazowych. Opozycja z kolei twierdzi, że przechodzi do kontrofensywy. Jej siły wciąż kontrolują dolinę Eufratu i zaciskają pętlę wokół Aleppo. Zakończyły się też trwające od stycznia walki pomiędzy rebeliantami, w których porażkę ponieśli ugrupowania islamistyczne. Według ONZ ze swoich domów uciekło już ponad 9 mln Syryjczyków, czyli więcej niż trzecia część ludności.

Wprzeprowadzenie wyborów w takich warunkach nie wierzą nawet niektórzy członkowie reżimu. MSW nie ma jednak wątpliwości: głosy będzie można oddać poza miejscem zamieszkania, imigranci będą mogli zagłosować na przejściach granicznych, a konkurent dla Asada „się znajdzie” – jak twierdzi ministerstwo. W ostatnich wyborach Asad zdobył 98 proc. głosów. Jeśli znów wygra, będzie rządził do 2021 r., przy najmniej w założeniach.

Zabrakło rozkazu

Prom „Sewol” dwa razy w tygodniu pływał między podseulskim milionowym miastem Incheon a Jeju, przypominającą Hawaje tropikalną wyspą, bardzo popularną wśród koreańskich urlopowiczów i wycieczek szkolnych. Dlatego z 475 osób obecnych na pokładzie większość stanowili uczniowie jednej ze szkół średnich. Jednostka zatонуła rankiem 16 kwietnia. Uratowało się 179 rozbitków, z morza wydługo 26 ofiar, resztę jeszcze przez kilkadziesiąt godzin po wypadku uznawano za zaginionych. Przyczyny katastrofy ustali specjalna komisja, ale od początku wskazywano pośpiech (prom był nieznacznie spóźniony) i złe warunki atmosferyczne. Nie wykluczano m.in. gwałtownego manewru, który doprowadził do przesunięcia ładunku. Na dodatek rozmowy mostka kapitańskiego z portem wskazują, że załoga popełniła błędy znane m.in. z „Costa Concordii”: ponad pół godziny zwlekała z ewakuacją, mimo że koordynatorzy z łądu zalecili ją niezwłocznie. I tak jak na „Costa Concordii” kapitan się uratował, bo jako jeden z pierwszych zeskoczył do morza.

Korea Płd. jest w żałobie i szoku. Państwo ma bardzo rozwiniętą infrastrukturę i, zwłaszcza na azjatyckim tle, uchodzi za dość bezpieczne, choć koreańskie drogi zbierają śmiertelne żniwo porównywalne do polskiego. Korea jest także morską potęgą, więc gdy tylko „Sewol” zaczął mieć kłopoty, w pobliżu pojawiły się liczne łodzie rybackie, a akcję ratunkową prowadziła dobrze wyposażona, nieustannie szkolona marynarka. Ostatnio do tak poważnej katastrofy na morzu doszło tam w 1993 r., zginęło wtedy prawie 300 osób. Koreańscy komentatorzy zauważają, że tym razem liczba ofiar mogła być zdecydowanie mniejsza. Tamtejszy system edukacyjny przyzwyczajają uczniów do żelaznej dyscypliny, więc gdyby tylko kazano im się ratować, na pewno wielu z młodych pasażerów sprawnie opuściłoby pokład.



Nigeria Superstar

Nigeryjski produkt krajowy wzrósł w 2013 r. o 89 proc.! Głównie dlatego, że zmieniono metodologię obliczeń. Z tym powiększonym PKB, wynoszącym 510 mld dol., Nigeria wyszła na pierwsze miejsce w Afryce, wyprzedzając RPA. Zwykle państwa dokonują korekty podobnych wyliczeń co pięć lat. Nigeria nie robiła ich od ponad 20 i w sumowaniu bogactwa narodowego nie brano pod uwagę kilku dynamicznie rozwijających się dziedzin życia, które teraz uwzględniono. Stąd ten skok.

Weźmy telefonię komórkową, która do tychczas nie figurowała w obliczeniach. W 170-mln Nigerii jest dziś 120 mln komórek, sporo inwestycji i wielka konkurencja – i w sumie składa się na to 7 proc. PKB. W dodatku sieć telefonii komórkowej jest podstawą systemu bankowego: małych pożyczek udzielanych na telefon. Ten nowy biznes też po raz pierwszy trafił do PKB. Tak jak lokalny

przemysł filmowy, zwany Nollywood (który wielkością produkcji dawno już pobił Hollywood, a niewykluczone, że i Bollywood). Nigeria kręci 2,5 tys. filmów rocznie na potrzeby całego regionu, tanio i pokątnie, rozprowadzając produkcję na płytach CD, ale – jak policzono – to w sumie dodatkowe 1,7 proc. PKB. Tych filmów musi być aż tyle, bo są bardzo szybko piratowane. Na jeden oryginał przypada 10 kopii. Tak dochodzimy do pokątnych sprzedawców operujących przy drogach i różnych innych usługodawców, jak liczni uliczni fryzjerzy czy dentysty. Okazało się, że po raz pierwszy uwzględnieni wytwarzają 1,6 proc. PKB. Istotny wkład wniosły też po raz pierwszy linie lotnicze. Wskaźnik prawie się podwoił, ale w kieszeni pieniędzy od tego nie przybyło. Dwie trzecie społeczeństwa żyje za mniej niż dolara dziennie. Chyba ciężko w nich będzie zaszczepić poczucie dumy, że są afrykańskim liderem.



© EAST NEWS

Krew na lodzie

Na wschodzie Kanady rozpoczęło się tradycyjne polowanie na foki grenlandzkie. Jak co wiosny nowofundlandcy myśliwi ruszyli na poszukiwania kilkutygodniowych focząt i ich delikatnego futra. Polującym z wody, z łodu i z powietrza przyglądają się obrońcy praw zwierząt, którzy od wielu lat starają się powstrzymać tę „największą na świecie rzeź ssaków morskich”. Do odłowu przeznaczono 400 tys. osobników, jednak prawdopodobnie limit nie zostanie wykorzystany – w 2013 r. zginęło 94 tys. fok, a polowało tylko kilka procent z 13 tys. uprawnionych. Spadek aktywności myśliwych to przede wszystkim efekt zakazu handlu foczym mięsem i futrem w USA, w Unii Europejskiej i w Rosji. Branża chciałaby więc podreperować

dochody eksportem mięsa na Daleki Wschód, jednak stosowne porozumienie z Chinami torpedują organizacje ekologiczne, którym umiejętnie udało się zmieknąć nawet serca chińskich sekretarzy. Dla odmiany w samej Kanadzie koniunktura na produkty z fok się poprawia, a większość Kanadyjczyków nie widzi w tej działalności niczego zdrożnego. Także rząd w Ottawie i lokalne władze mocno wspierają polujących. Argumentują, że ta ponadczterowiekowa tradycja jest kluczowa dla funkcjonowania społeczności zamieszkujących terytoria arktyczne, zaś foki uśmiercane są w humanitarny sposób. 90 proc. z nich zabijanych jest z broni palnej i tylko niewielka reszta ginie po uderzeniu pałką.

Bloomberg porywa się na broń

To będzie bitwa o serca i umysły Amerykanów – zapowiedział miliarder Michael Bloomberg, do stycznia udany burmistrz Nowego Jorku. Właśnie postanowił przeznaczyć własne 50 mln dol. na wsparcie kandydatów do władz różnego szczebla, którzy podejmą starania o ograniczenie prawa do posiadania broni. 72-letni Bloomberg, który już walczył z paleniem papierosów na ulicach i wysokokalorycznymi napojami gazowanymi w dużych pojemnikach, tym razem porywa się chyba na najsilniejsze amerykańskie lobby. Chce zneutralizować wpływy lobbystycznego National Rifle Association (NRA), potężnego klubu zwolenników nieskrępowanego dostępu do broni. Na przykład w 2012 r. NRA wydało ok. 20 mln dol. na kampanie kandydatów, którzy zapewnią tej sprawie wsparcie w Kongresie. To znaczy będą w stanie udaremnić wszelkie próby korekty prawa. Teraz,

przed listopadowymi wyborami na półmetku kadencji, NRA wdraża podobny plan.

Bloomberg ogłosił swoją konkwistę na tydzień przed doroczną krajową konwencją NRA w Indianapolis. Dziś układ sił w Kongresie jest taki, że nawet najodważniejszy demokrat nie zaryzykuje najdrobniejszych korekt w tej dziedzinie. Dlatego Bloomberg zapowiada długi marsz: rezygnuje z kampanii billboardowych, chce natomiast objąć działalnością 15 stanów i rozpocząć pracę u podstaw, licząc głównie na dotarcie do „matek i kobiet” i ich siłę wyborczą. Przy czym, jak ogłosił „nikt nie chce nikomu zabierać pistoletów ani odmawiać prawa do samoobrony”, chodzi jedynie o „garstkę tych, co do których wszyscy się zgadzają, że nie powinni mieć dostępu do broni”. Nieuchronnie Amerykę czeka nowy spór, co to za garstka i jak skutecznie pozbawić ją dostępu do strzelającego oręża?

Berlusconi musi pomagać

Gdyby Silvio Berlusconi był zwykłym obywatelem, za przestępstwo, które mu niedawno udowodniono (oszustwa podatkowe na wielką skalę), mógłby trafić do więzienia nawet na 10 lat. Ale czterokrotny premier Włoch nie jest zwykłym obywatelem, a w dodatku człowiekiem sędziwym. Decyzją sądu musi teraz przez rok raz w tygodniu pomagać podopiecznym katolickiego domu seniora pod Mediolanem. „Sąd kazał mi pomagać ludziom, ale ja przecież robię to przez całe życie” – podsumował Berlusconi.

Wostatnim tygodniu spotkały go gorsze rzeczy. Po 18 latach z Forza Italia! odszedł legendarny rzecznik Berlusconi'ego Paolo Bonaiuti. Za każdym razem, gdy go brakowało, wywiady premiera kończyły się skandalem. Za to odnalazł się stary sycylijski przyjaciel Marcello Dell'Utri. Ten biznesmen współzakładał Forza Italia! i według włoskiej prasy był pośrednikiem między Berlusconim i mafią. Znalaziono go w Libanie i teraz czeka na ekstradycję do Rzymu. Berlusconi jednak nie przestaje się uśmiechać, choć niektórzy twierdzą, że inaczej już nie może, ze względu na operacje plastyczne. Nie może też startować w eurowyborach, bo ma dwuletni zakaz pełnienia funkcji publicznych, ale i tak będzie prowadził kampanię swojej partii. Poza tym zawarł układ z obecnym premierem Matteo Renzi'w sprawie przełomowej reformy włoskiego parlamentu, co dla Włochów było – nie przymierzając – jak porozumienie Macierewicza z Millerem. Jak widać, ostatecznie została tylko jedna osoba, która może zakończyć karierę 77-letniego Berlusconi'ego – i mieszka w niebieskich.



© POLARIS



Operacja Ukraina

Ziemowit Szczerek



Zorganizujemy referendum w kwestii przynależności poszczególnych części Ukrainy do tego państwa – mówi ukraiński historyk Jarosław Hrycak. – Jeśli, damy na to, Donbas wybrałby opcję prorosyjską, wtedy Ukraina powinna być gotowa go wyrzucić.

„Zielone ludziki”
z Doniecka

Powszechne już jest narzekanie, że Kijów nie reaguje na rosyjskie, coraz śmielsze, prowokacje, a jeśli reaguje, to niespecjalnie efektywnie i bez przekonania. Że „projekt Ukraina” po prostu nie działa, że zapożyczony od dawna podział Ukrainy, wdrukowany, jak się uważa, w jej istotę – staje się faktem. Że setki lat funkcjonowania w różnych realiach politycznych wykształciły różne rodzaje ukraińskości i że współczesne państwo ukraińskie okazało się niezdolne do zintegrowania tych ukraińskości w jednym organizmie. Bo wygląda na to, że Rosjanie śmieją się Kijowowi w twarz. Krym odebrano bez wystrzału, podobno zaskoczony był tym sam Władimir Putin. Teraz Moskwa na wschodniej Ukrainie robi, co chce: nie ma wątpliwości, że granicę przenikają specjalne jednostki wspierające separatystów. A ci coraz bardziej lekceważą ukraińskie państwo.

Parę tygodni temu, pod pomnikami Leninów na wschodniej Ukrainie, głosili oficjalnie, że żaden separatyzm ich nie interesuje, a o przyłączeniu do Rosji dodawali już po cichu. Teraz, razem ze znanymi z Krymu „zielonymi ludzikami”, wywieszają

na samorządowych budynkach rosyjskie flagi, szturmują milicyjne posterunki. I mimo że Władimir Putin przyznał już, że na Krymie „zielone ludziki” były wsparciem przysłanym z Moskwy dla lokalnej ludności, mimo że „kosmici” ze wschodniej Ukrainy do złudzenia przypominają „kosmitów” z Krymu, to Rosja szczerzy się najbardziej: to nie my. Wyłącznie lokalna ludność, patrioci, którzy nie chcą mieć nic wspólnego z kijowskimi „faszystami” i „banderowcami”. Mundury można kupić w sklepie, broń w internecie, a ciężki sprzęt wojskowy, cóż, hm, no właśnie. Bolesna dla Ukrainy sprawa.

16 kwietnia po Donbasie zaczęły kręcić się transportery opancerzone, ozdobione rosyjskimi flagami. Cała Ukraina zastanawiała się, skąd te transportery się wzięły: przyjechały z Rosji? Co, już inwazja? Gdy okazało się, że zostały przez separatystów po prostu odebrane regularnemu ukraińskiemu wojsku, na Kijów spłynął taki wstyd, że zaczęło się kręcenie. Jeden z polskich dziennikarzy, na bieżąco komentujących wydarzenia na Ukrainie, tak opisywał całą sprawę na Facebooku:

„10.00 – siły prorosyjskie przejęły ukraińskie wozy bojowe.

12.00 – Ministerstwo Obrony Ukrainy: nikt niczego nie przejmował.

13.00 – Członek rządzącej partii: to nasi przebrali się za Rosjan, to taka sztuczka, żeby oszukać separatystów.

15.00 – Ministerstwo Obrony: jesteśmy zasmuceni. Ruscy jednak zapier... nam te transportery”.

Zapytałem Jarosława Hrycaka, znanego ukraińskiego historyka i komentatora wydarzeń politycznych, o to, co właściwie może zrobić Kijów. Zaatakować zdecydowanie separatystów i wziąć na siebie odium przelania krwi? Przecież Zachód, w tym USA, w jasny sposób namawia Ukrainę do powściągliwości i chwali za brak ostrej reakcji. Poza tym ci separatyści wspierani są przez znane już z Krymu „zielone ludziki”, które najprawdopodobniej są nadzwyczaj dobrze wyszkolonymi członkami specjalnych jednostek wojskowych i bez walki raczej się nie poddadzą, w dodatku – jak twierdzą specjaliści – kilkudziesięciu takich młodoców jest w stanie zatrzymać batalion regu-

larnego wojska. Więc co, wejść w otwartą konfrontację i ryzykować ściągnięcie sobie na głowę jednej z największych militarnych potęg świata, której – przynajmniej na razie – nie do końca wiadomo, o co chodzi? Czy chce włączyć ukraiński wschód i południe w swoje granice tak samo jak Krym, czy chce zrobić z niego coś w rodzaju Naddniestrza – nieuznanego przez nikogo, lecz de facto samorządnego terytorium? Czy chce po prostu utrzymywać tam stałe napięcie i destabilizować Ukrainę? Czy może wręcz rozjechać ukraińskie wojska w regularnym starciu, w którym Kijów nie miałby, nie ma co się oszukiwać, żadnych szans (i nic tu nie pomogą bojowe grafiki z ognistymi pięściami, wrzucane z lubością przez ukraiński MON na swój profil facebookowy).

– Kijów na razie niewiele może zrobić – przyznaje Jarosław Hrycak. – Ale przyszedłoby się jakieś niewielkie, ale wyraźne ruchy, takie, które uzmysławiłyby Ukraińcom, że państwo jednak działa, że gwarantuje bezpieczeństwo.

– A o co chodzi z tym referendum w sprawie przynależności do Ukrainy? Czy przypadkiem Rosjanom nie chodzi o to samo?

– Chodzi o to, żeby wyprzedzić Moskwę i wyrwać jej legitymację do działania, bo Rosja powołuje się na ochronę praw cywilnej rosyjskojęzycznej ludności – mówi Hrycak. – A myślę, że jeśli takiego referendum nie zorganizowałaby Rosja ani separatyści, to opcja proukraińska by zwyciężyła, i to w całej Ukrainie, w Doniecku również. Ludzie tam są w większości bierni, oczekują stabilizacji. A obecnie po prostu próbują ocenić, kto jest jej większym gwarantem: Rosja czy Ukraina. W referendum organizowanym przez Kijów głosowałiby za stanem faktycznym, a nie za zmianami, które – w dodatku – mogą przynieść ze sobą konflikt. Zresztą, dodaje Hrycak: – Uważam też, że w referendum powinno paść pytanie o uczynienie z rosyjskiego drugiego języka urzędowego. Dlaczego nie?

– A co, jeśli Donieck jednak zagłosuje za Rosją? Kijów powinien go w takim razie wyrzucić z Ukrainy?

– Prawdopodobieństwo takiego obrotu sprawy jest minimalne – mówi Hrycak. – Ale tak – przynajmniej po chwili milczenia – Kijów powinien być na to gotowy.

Gen. Gromosław Czempieński, były szef polskiego UOP, również przyznaje, że Kijów nie ma specjalnego ruchu. Ale i on ma pomysł. – Rosjanie udają samoobronę, bo samoobrona to cywile, a przeciw cywilom nie można używać wojska – mówi. – Gdyby coś takiego się stało, Moskwa podniosłaby wrzask i mogłaby zareagować agresywnie. Ale jeśli po stronie rosyjskiej są przebierańcy, to czemu nie zrobić przebierańców po stronie ukraińskiej, wystarczyłoby ubrać oddziały specjalne w mundury milicyjne, a milicja cywilów już może pacyfikować.

Czempieński zgadza się jednak, że Ukraińcy są w wyjątkowo trudnej sytuacji.

– Kijów nie wie nawet, komu może ufać – mówi generał. – Jeśli chodzi o siły specjalne, to Ukraińcy mają tylko Alfę, a to jednostka szkolona przez oficerów z czasów radzieckich, kiedy mało kto pytał, czy jest się Rosjaninem czy Ukraińcem. Istnieje obawa, że sporo jej członków może przejść na stronę rosyjską.

Bo tak to właśnie wygląda: część ukraińskich wojskowych przechodzi. Do rosyjskiej armii wstąpiło sporo tych, którzy stacjonowali na Krymie, rosyjska telewizja poinformowała, że na stronę separatystów przeszła część ukraińskich komandosów wysłanych do Donbasu. Według niektórych doniesień przyłączyła się do nich część załóg słynnych transporterów opancerzonych. Na stronę promoskiewską przechodzą też milicjanci: to oni, według agencji Interfax-Ukraina, mieli przekazać w ręce separatystów dwóch ukraińskich żołnierzy, których samochód zepsuł się w obwodzie ługańskim i którzy zgłosili się po pomoc na najbliższy posterunek milicji. Powody są różne: sympatie polityczne czy narodowe to jedno, ale istnieją też powody ekonomiczne: zarobki w ukraińskim wojsku i milicji nie należą, euromistycznie mówiąc, do najwyższych.

Po czterostronnych rozmowach w Genewie zmienił się nieco klimat: Rosjanie i Ukraińcy umówili się co do „deeskalacji” działań, zgodzono się, że wszystkie nielegalne zbrojne grupy powinny zostać rozbrojone i opuścić zajęte budynki i place. Ale według doniesień uzbrojeni ludzie okupujący zajęte budynki nadal otrzymują wsparcie, a sami separatyści już ogłosili, że Siergiej Ławrow, który zgodził się na genewskie warunki, zrobił to w imieniu swoim, a nie „Donieckiej Republiki Ludowej”. Pojawiły się doniesienia, że prorosyjscy „kosmici” nie tylko nie „deeskalują”, ale też zaczynają się kręcić po innych, niezajętych jeszcze regionach. Ukraińcy wprowadzili zakaz wjazdu na swoje terytorium Rosjan w wieku 16–60 lat, w tym mieszkańców teoretycznie własnego Krymu.

Współcześnie rośnie frustracja. Brak działań ze strony Kijowa tłumaczony jest w różny, często spiskowy sposób. Krążą na przykład pogłoski o tym, że pasywność ta spowodowana jest faktem, że Julia Tymoszenko i p.o. prezydenta Ołeksandr Turczynow to nikt inny, jak tylko rosyjscy agenci i po prostu realizują ustalony już dawno temu plan rozbioru Ukrainy. Teza ta nawet na Ukrainie, zazwyczaj dość podatnej na teorie spiskowe, robi niezłe wrażenie. Są też tacy, którzy nawet w braku działań ukraińskiego państwa doszukują się – dość, przynajmniej trzeba, desperacko – światła w tunelu. Jarosław Hrycak na przykład uważa, że brak działań państwa powoduje, że na wschodzie powstają inicjatywy oddolne i umacnia się w ten sposób społeczeństwo obywatelskie. – Coś się zaczyna dziać – mówi Hrycak. – W Ługańsku, Doniecku, Dniepropietrowsku, Odessie: wszędzie odbywają się demonstracje przeciwko rosyjskiej agresji. Są rachityczne, ale są.

Tymczasem jednak w niektórych miejscach w Donbasie działa nie państwo ukraińskie, lecz quasi-partyzancka, prorosyjska „Doniecka Republika Ludowa”. Tu i tam pomontowano barykady, zorganizowano „majdany”. Sposób działania separatystów jest kopią tego, co działo się na euromajdanach na zachodzie i w centrum Ukrainy. I również w tym punkcie ta prozachodnia, pomajdanowa Ukraina jest bezsilna: może tylko zaciskać zęby i wrzucać do internetu memy o tym, że Donbas, Ługańszczyzna i Charkowszczyzna uprawiają wschodnioukraińską wersję polinezyjskiego kultu cargo, próbując poprzez kopiowanie rozwiązań, które odniosły skutek na zachodzie, osiągnąć zwycięstwo na wschodzie. W taki sam sposób, w jaki Polinezyjczycy próbowali przywołać samoloty przywożące im towary przez budowę ich prymitywnych kopii na ziemi.

Czy brak aktywności Kijowa na wschodzie nie budzi rezygnacji w innych częściach Ukrainy i zwątpienia w ukraińskie państwo, co przecież byłoby na rękę Moskwie? – Na razie nie – mówi Lubko Petrenko z lwowskiego portalu Zaxid.net. – Choć to prawda: ludzie zaczynają się irytować na brak działań Kijowa.

– Jak dotąd na zachodzie Ukrainy mocno demonstruje się przywiązanie do granic Ukrainy i to sprzed aneksji Krymu – mówi lwowski publicysta Wasyl Rasewycz. – Atmosfera jest podniosła i patriotyczna.

Tak, teraz nawet Jurij Andruchowycz, który wcześniej mówił o tym, że warto by pozbyć się z granic Ukrainy Krymu i Donbasu, twierdzi, że źle go zrozumiano. Również prof. Hrycak uważa, że na razie mało kto myśli o rezygnacji z „projektu Ukraina”. – Nie chodzi już nawet o jakieś specjalne przywiązanie do władz w Kijowie – mówi. – Po prostu ludzie czują się zagrożeni, czuje się tu smród wojny, więc się integrują.

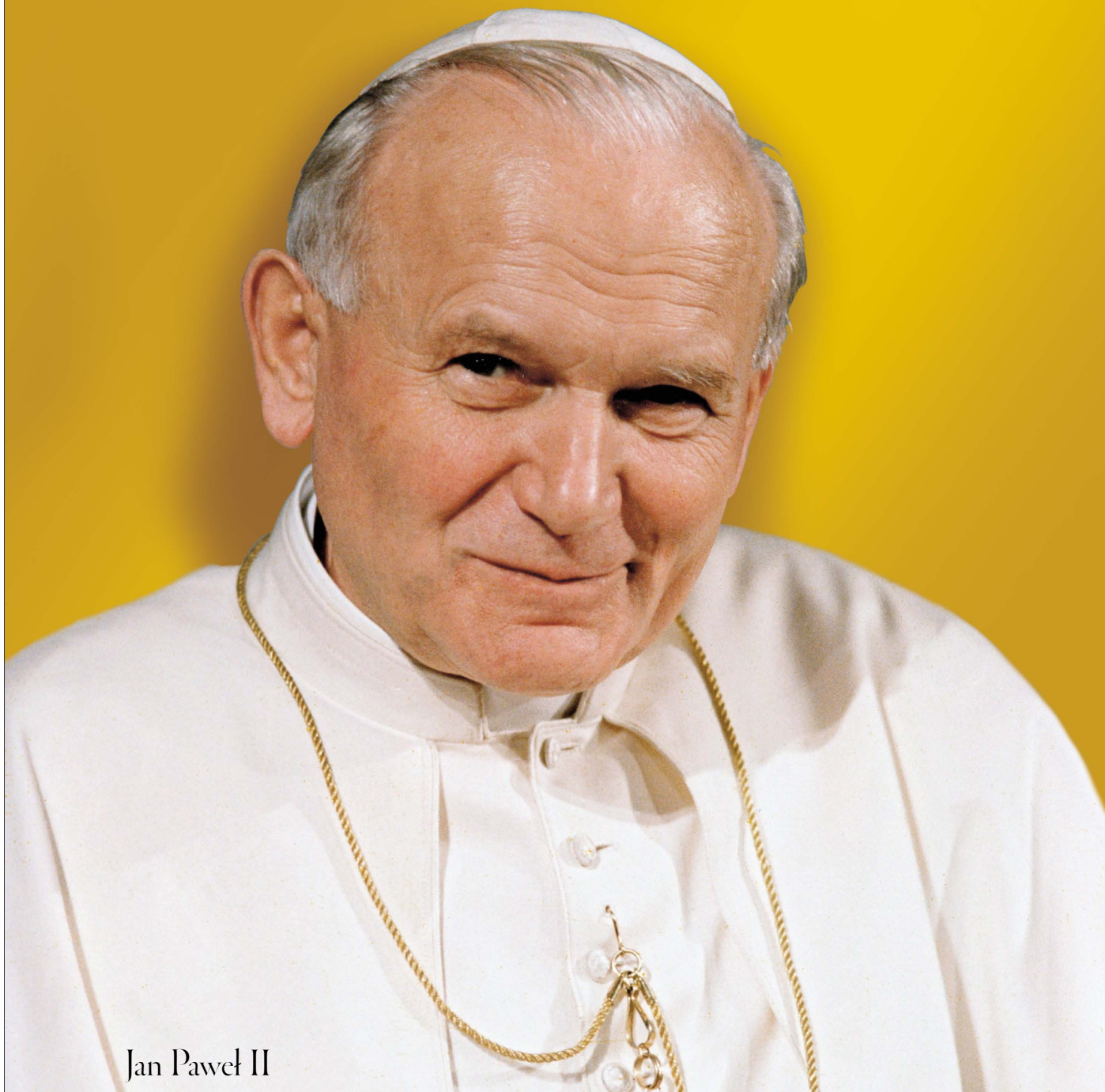
Ale, według Hrycaka, i tak nie jest najgorzej. Uważa on, że Moskwa od dawna miała przygotowany plan działania na wypadek pojawienia się w Kijowie prozachodnich władz.

– Aneksja Krymu to jedna sprawa – uważa. – Ale kolejnym etapem miał być podział Ukrainy na linii Charków–Odessa. A tymczasem nie ma na wschodzie Ukrainy masowego poparcia dla Rosji. Owszem, jest marazm i oczekiwanie na to, kto okaże się silniejszy, ale nie ma witania kwiatami. Iluż tam ich jest, tych członków „samoobrony”? Tego się Putin nie spodziewał. A mnie bardzo cieszy fakt, że w takich miejscach, jak Odessa czy Dniepropietrowsk, istnieje silny sprzeciw wobec polityki Moskwy.

Ale co, jeśli jednak Rosja nie będzie czekała na kwiaty, tylko – po prostu – wojskowo wtargnie na terytorium Ukrainy? – To by było rosyjskie samobójstwo ekonomiczne – uważa Wasyl Rasewycz. – Albo trzecia wojna światowa – dodaje po chwili.

POLITYKA ŚWIĘTOŚCI

Wspólna kanonizacja dwóch wybitnych papieży, Jana Pawła II i Jana XXIII, to ważne i bardzo rzadkie w Kościele zdarzenie – w całym minionym tysiącleciu kanonizowano zaledwie trzech papieży. Ale jakie znaczenie w ogóle mają dziś święci?



Jan Paweł II

© EAST NEWS

Mówiąc najkrócej: świętość jest tlenem religii. Katolicki kult świętych odnawia i wzmacnia Kościół. Bez niego nie ma masowej pobożności, a bez niej nie ma masowego Kościoła. Ale świętych mężów i kobiety znał świat przed i poza chrześcijaństwem. I tak jest do dzisiaj.

Turyści z Zachodu pasjonują się Tybetem i buddyjskimi lamami. Pielgrzymują do Indii, by zobaczyć na własne oczy ascetów i guru hinduizmu. W Turcji chodzą oglądać wirujących w tańcu sufich. W Polsce można być świadkiem wypraw chasydów z Izraela i USA do grobów cadyków. Niektórzy badacze religii już ponad wiek temu uznali, że sama religia jest po to, by zarządzać świętością w społeczeństwie. W tym ujęciu świętość jawi się jako tajemnicza, przerażająca, ale też fascynująca strefa duchowej mocy i kontaktu z siłami kosmicznymi, nadprzyrodzonymi.

Odcienie świętości

Chrześcijanie antyczną religię Greków i Rzymian uważali za fałszywą, ale antyczni „poganie” uważali z kolei chrześcijan za „ateistów”, bo jak można wierzyć tylko w jednego boga? A zatem może istnieć bardziej fundamentalna więź niż relacja Bóg–człowiek: to relacja człowiek–sacrum, strefa świętego. Także dzisiaj ludzie mają potrzebę, poczucie i intuicję świętości. Jest na nią nadal masowy popyt, a więc jest i podaż. W krajach zlaicyzowanych wciela się ona w celebrytów. Świeckimi świętymi są tu silni liderzy polityczni i idole popkultury. Jest nawet odpowiednik relikwii: kurtki Beatlesów, suknia Marilyn Monroe, gitara Jimmiego Hendriksa. Z tym że fani nie oczekują od celebrytów świętości w znaczeniu religijnym.

Kościelny kult świętych ma korzenie pogańskie. Już w starożytności pośrednicy między światem bogów a światem ludzi, mędrcy, pustelnicy, cudotwórcy, otaczani byli czcią, jak działający w I w. Apoloniusz z Tyanu, wędrowny filozof grecki, obdarzony ponoć mocą jasnowidzenia i uzdrawiania. Ale dla chrześcijan ich święci byli wyjątkowi, nieporównywalni, bo umierali za wiarę. Już w II w. chrześcijanie w Smyrnie (dziś Izmir) opisali w liście do innej gminy męczenną śmierć swego biskupa Polikarpa. Gmina postanowiła czcić pamięć Polikarpa w rocznicę jego śmierci, a nie urodzin, bo śmierć za wiarę uważa się w Kościele za narodziny dla nieba. Gromadzono historie męczenników, układano ich spisy (martyrologia).

Ale już wtedy rodziły się teologiczne wątpliwości, bo przecież w ujęciu chrześcijańskim wszelka moc duchowa może pochodzić tylko od Boga, a nie od człowieka, nawet jeśli jest świętym. To Bóg ustanawia świętych, nie człowiek. Wątpliwości budziła też rywalizacja o miejsce na pochówek w pobliżu grobu świętego. Przecież zbawienie nie może zależeć od tego, gdzie zostaniemy pochowani.

Utarło się więc, że katolicy postrzegają świętych raczej jako przyjaciół Boga niż szamanów. Modlą się do nich jako do pośredników, przechowują ich relikwie, nadają im imiona swoim dzieciom.

Kod dostępu do świętości

Jednak Kościół od Soboru Watykańskiego II przypomina, że wszyscy są powołani do świętości. Kto żyje według nauk Ewangelii i Kościoła, ma szansę dostać owego sakralnego Nobla, jakim jest kanonizacja. Świętymi Kościół nazywa i osoby kanonizowane, ale też wszystkich ochrzczonych. Chrzest oznacza bowiem udział w świętości, we wspólnocie wiary i nadziei chrześcijańskiej (świętych obcowanie). Należą do niej wszyscy kiedykolwiek ochrzczeni, czyli żywi i zmarli. W języku kościelnym mówi się o Kościele pielgrzymującym na ziemi, pokutującym w czyśćcu i triumfującym w niebie.

Ale to piękna teologiczna teoria. W praktyce z tym powszechnym dostępem do świętości nie wszystko jest takie proste. Troszkę mamy tu równych i równiejszych. W pierwszych wiekach wspólnota wiernych ustanawiała świętych, zwykle męczenników, przez aklamację. Papież monopol na ogłaszanie świętych mają dopiero od średniowiecza.

Procedury powstawały długo, bardziej szczegółowe ustalono w XVIII w. W końcu ukształtował się biurokratyczny aparat organizacyjno-lustracyjny do spraw świętych, w Watykanie działa nawet „ministerstwo świętości”, kongregacja do spraw świętych. Proces kanonizacyjny, ujęty w ramy prawa kościelnego, jest drobiazgowy i zwykle czasochłonny, więc kosztowny. I oczywiście otoczony tajemnicą, jak prawie wszystko w machinie kościelnej. To z jednej strony budzi wścibską ciekawość, z drugiej sprzyja plotkom i spekulacjom.

Owszem, każdy ma szansę na świętość, ale czy na kanonizację? Henri Tincq pisze w „Katolikach”, że historycy Kościoła podają liczbę ok. 10 tys. znanych z imienia świętych; do tego należy dodać tysiące tych, których imiona przepadły w mrokach dziejów. To bardzo mało w porównaniu z setkami milionów katolików na świecie. Więc jednak święci to duchowa elita Kościoła. Demokratyczne są tylko szanse; selekcja i nominacje zależą od prałatów i procedur. Słowem, wprawdzie świętych ustanawia Bóg, jednak pomagają mu

w tym na ziemi urzędnicy Kościoła. To może budzić wątpliwości. Inne niż w starożytności, lecz także palące.

Dlaczego kanonizuje się tę, a nie inną osobę, choć obie cieszyły się za życia opinią świętych? Dlaczego teraz, a nie kiedy indziej? Dlaczego trzeba czasem tak długo czekać, choć wszyscy są przekonani o świętości tej czy innej osoby? Św. Joanna d'Arc czekała pięć wieków, podobnie św. Jadwiga, królowa i patronka Polski. Matka Teresa z Kalkuty tylko pięć lat, ale miliony ludzi uważały ją za świętą już za jej życia (jednym ze świadków w jej procesie był radykalny ateista Christopher Hitchens, przeciwnik kanonizacji, Watykan odrzucił jednak jego zarzut). Świętość jest także kwestią polityczną. W Kościele, tak samo jak poza nim, nie jest obojętne, kto, kiedy i dlaczego trafia na ołtarze.

Drabina do nieba

Ustanawianie świętych przypomina drabinę, której kolejne szczeble mogą doprowadzić do chrześcijańskiego nieba. Pokonując je, kandydat tytułowany jest na kolejnych etapach sługą Bożym, czcigodnym, błogosławionym i świętym. ►



Jan XXIII,
ogłoszony świętym wraz
z Janem Pawłem II

© CORBIS

► Ale najpierw musi być wniosek od jakiejś grupy wiernych, stowarzyszenia, osoby czy instytucji kościelnej. To tzw. promotorzy sprawy kanonizacji. Kościół radzi się nie spieszyć ze składaniem podania. Moratorium wynosiło zwykle dziesięć lat, ale Jan Paweł II skrócił je do pięciu. Ten warunek można zawiesić. Uczył tak Benedykt XVI w odniesieniu do Jana Pawła II. Proces beatyfikacyjny Karola Wojtyły rozpoczął się rekordowo szybko, zaledwie dwa miesiące po śmierci papieża.

Promotorzy powinni podać mocne dowody świętości swego kandydata/kandydatki (kobiety są wśród świętych mniejszością, ale sporą). Ma z nich wynikać, że osoba posiadała za życia moralne cnoty chrześcijańskie w stopniu nadzwyczajnym, heroicznym, co już może być znakiem, że podobała się Bogu, który wsparł ją swą łaską. Bardzo pomocne są wszelkiego rodzaju dokumenty, w tym opowieści o kandydatach na świętych. Ich biografie stają się w istocie świętymi tekstami, a sami święci – swymi biografiami, hagiografiami.

Żywoty świętych były przez wieki niezwykle popularnym gatunkiem. „Złota legenda” włoskiego dominikanina Jakuba de Voragine (beatyfikowanego prawie 800 lat po śmierci) czy „Żywoty świętych” Piotra Skargi były wkładem w kulturę i narzędziem szerzenia kościelnego modelu wiary i pobożności. Umartwianie ciała, posty, włosiennice, życie skromne, ubogie, poświęcone w całości modlitwie, medytacjom, sakramentom i służeniu bliźnim. Święte męczennice oddają życie za wiarę i ocalenie dziewictwa. Bogaty z domu św. Aleksy wybiera służbę biednym i przedkłada ją nad dostatnie i udane małżeństwo (Aleksy to według Kościoła piękny przykład abnegacji chrześcijańskiej, czyli wyrzeczenia się dóbr i przyjemności na rzecz naśladowania Chrystusa).

Ale w czasach nowszych święci są nie tylko do pobożnego podziwiania, ale stają się też przykładami do naśladowania. Rodzi się też w Kościele potrzeba większej wiarygodności opowieści o świętych. Wielkie zasługi mieli tu tzw. bollandyści, jezuici, którzy w XVII w. zaczęli opracowywać biografie świętych krytycznie, na podstawie dostępnych źródeł, a nie plotek i legend. Nie szło to łatwo. Z bollandystami weszli w spór karmelici. Oburzyło ich podważenie legendy wiążącej założyciela ich zakonu, św. Alberta Avogardo, z biblijnym prorokiem Eliaszem. Alarmowali u hiszpańskiej inkwizycji, że bollandyści uważają za sfałszowaną tzw. donację Konstantyna, dającą władzę papieżom w zachodnim cesarstwie rzymskim.

Jeśli biskup z kościelnym sądem przyjmą wniosek promotorów, powołany zostaje postulator, który ma gromadzić wszelkie materiały potrzebne lub przydatne w procesie. Władza kościelna wyznacza także promotora sprawiedliwości, zwanego dawniej adwokatem diabła. Ma prześwieclać zebrane materiały pod kątem zarzutów przeciwko świętości kandydata.

Materiały wysyła się do Watykanu. Przygotowuje się *positio* – możliwie najpełniejszy zbiór dokumentów przemawiających za kanonizacją, rodzaj biografii kandydata. Może liczyć nawet kilka tysięcy stron. Teraz *positio* lustrują

kościelni eksperci zwani konsultorami. Chodzi o potwierdzenie heroiczności cnót i wyłapanie wszelkich ewentualnych błędów. Bez tego papież nie podpisze dekretu o beatyfikacji, a potem o kanonizacji, a bez jego podpisu drabina do nieba idzie w odstawkę.

Cuda

Procedura wymaga zatwierdzenia cudów: jednego w przypadku beatyfikacji, dwóch przy kanonizacji. To wyjątkowo trudna przeszkoda. Wyleczenie ma być

natychmiastowe, całkowite i trwałe, niemożliwe do wytłumaczenia naukowego i medycznego, a choroba i rokowania bardzo poważne. Na punkcie cudów opinia publiczna jest drażliwa, więc Kościół przykładą się tu do pracy. Komisje badające cudowne uzdrowienia na przestrzeni 150 lat w maryjnym sanktuarium francuskim w Lourdes tylko 67 uznały za cudowne. Warunek cudu nie dotyczy męczenników. Bywa jednak, że i zabici mnisi czy świeccy mają kłopoty. Na przykład bohaterowie filmu „Ludzie Boga”, trapiści z Tibhirine, Francuzi, zamordowani w 1996 r. przez fanatycznych muzułmanów algierskich. Pytano bowiem, czy zginęli z powodu nienawiści do wiary katolickiej czy do Francji?

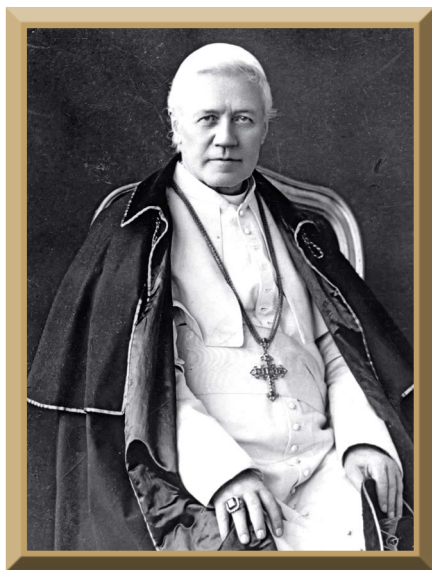
Wyniesienie na ołtarze oznacza zgodę Kościoła instytucjonalnego na publiczny kult lokalny (w przypadku beatyfikowanego) i powszechny (w przypadku kanonizowanego). Papież potwierdza swym autorytetem, że osoba przebywa z Bogiem, można się do niej modlić, prosząc o wstawiennictwo u Boga. Imię świętego

zostaje wpisane do kalendarza liturgicznego pod określoną datą, kiedy należy go wspomnieć w modlitwie wiernych.

Kto był przeciw kanonizacji Jana Pawła II?

Jan Paweł II musiał przejść po drabinie do nieba tak samo jak inni. Opowiada o tym postulator jego procesu kanonizacyjnego ks. Sławomir Oder w książce „Zostałem z wami”. W zasadzie bez nazwisk, bez zdradzania tajemnic i przecieków. Wyczuwa, że świętość kanonizowanym nie jest potrzebna tak bardzo, jak wiernym i Kościołowi. O natychmiastową kanonizację Wojtyły wierni wołali zaraz po jego śmierci. To normalne i dopuszczalne w życiu Kościoła; przed sprawą Wojtyły o kanonizację przez aklamację Jana XXIII zbiegała podczas II Soboru Watykańskiego liczna grupa jego zwolenników.

Cud przypisywany wstawiennictwu Wojtyły (chodziło o francuską zakonnicę) zatwierdził i beatyfikację Wojtyły ogłosił Benedykt XVI w 2011 r. Drugi cud (świecka katoliczka z Kostaryki) zatwierdził już papież Franciszek. Uroczystość ogłoszenia świętymi Jana Pawła II i Jana XXIII wyznaczył na 27 kwietnia 2014 r. To wiernym wystarczy. Ale dla szerszej publiczności więcej znaczą „cuda” narodowo-polityczne papieża z Polski. Jego wsparcie ruchu Solidarność, wizyty w kraju ogarniętym traumą stanu wojennego, odnowa polskiego myślenia o miłości ojczyzny w czasie marnym. Karol Wojtyła był de facto ostatnim królem Polski, przywódcą



Pius X,
jedyń w XX w.
kanonizowany papież

© CORBIS